

Pogawędka niedzielna

Książka i... woda

Zbliżają się święta... Człowiek myśli, jakby się tu tanio wywinąć uroczystościom, a niezbyt ubliżyć tradycji. Słowem rozwiązuje problem, jak postąpić, żeby i kieszeń była syta i szczerak z chrzanem cały. Pochłonięty temi dumaniami przerzuca gazety niedbale, lecz tak wielkich ogłoszeń, jakimi da ją znać o sobie firmy wydawnicze, nie może nie zauważyć. Tu-ta krzyczy „Rój” o obniżce cen książek, tam wabi rewelacyjnymi cenami „Dom książki polskiej”, ówdzie pohukują inne firmy...

Ratuje się kto może i jak może. A mimo to czytamy w tychże gazetach, że ruch księgarski zamiera, że zarówno w Warszawie jak na prowincji coraz więcej księgarń się zwiija.

Ile razy zastanawiam się nad czytelnictwem, zawsze przychodzi mi na myśl pewne zdarzenie sprzed roku. Był skisły wieczór późnej jesieni. Domy stały jakby struchlałe, wiatr swistał, latarnie w aureoli mżących kropelek ślepiły niby banie i zlewały białe refleksy światła na mokre, śliskie ulice... Gdzie niedziedzi pomykał przechodzień, wtuliwszy ręce w kieszenie palta, a głowę w podniesiony koltierz.

Brr!... Zimno, przejmująco! W taki dzień coś pcha poprostu czoło wieka, żeby oziębłe ciało i wystygłą duszę rozgrzać „jednym głębszym”. Skręciłem do jakiegoś narożnego baru, wsiajkając odrzynać ciepło, podniecony rozgwar i zapach skwierczących się potraw na bufecie. Było rojno i gwarno. Co chwila otwierały się drzwi i z buchającej pary wylaniały się jakieś omoki facet... Siedziałem nad kieliszkiem sam, czego bardzo nie lubię. Zaczęłem się więc rozglądać wokół, szukając znajomych, ale napróżno. Naraz u wejścia spostrzegłem chudą, filigranową postać jednego ze znanych naszych poetów. Błady, łysawy człowiek sterował ku bufetowi, zręcznie la wirując pomiędzy barczystymi wyznawcami Bachusa.

— Panie J., dobry wieczór! — wołał.

— Dobry wieczór. Ucieszyliśmy się spotkaniem i zaczęli gawędzić. Między pisaźmi rozmowa ostatecznie zawsze

Zimowa kolonja
Nauczycielska
w Krynicy

W r. b. Zarząd Koła Warsz. T. N. S. W. w okresie świąt Bożego Nar. (23.12 b. r. — 8.1.1936) organizuje w Krynicy we własnym domu wypoczynkowym — Tenesówce — kolonję nauczycielską dla nauczycieli i ich rodzin.

Opłata wynosić będzie 5 zł. dziennie (mieszkanie, opał, światło, utrzymanie). Zapisy przyjmuje się w K. W. Warsz. T. N. S. W. (Warszawa, Bracka 18 m. 4) w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Wszelką korespondencję w związku z zapisem, wraz ze znaczkami pocztowymi na odpowiedź, kierować należy do Koła Warszawskiego T. N. S. W.

Z plastyki

Drzeworyt na ścianie

Podczas wydawania drzeworytów naszym subskrybentom, w redakcji „ABC”, na ścianach zawiesziliśmy egzemplarze tych prac, oprawne w ramki, wedle wyboru artysty. Niejednokrotnie miałem sposobność stwierdzić, że jaką wagą nasi miłośnicy grafiki, te ramki oglądali, jak wypowiadali swoje uwagi i spostrzeżenia na ten temat i jak bynajmniej kwestji — prawdy nie lekceważąc, rozważali z zainteresowaniem przeróżne jej możliwości. Fakt ten sprawia nam, artystom, prawdziwą radość; przykładanie takiej wagi do pozornego drobiazgu, pozwala żywić nadzieję, iż ludzie, którzy to robią, zadają również o inne wartości estetyczne własnego mieszkanka. Jeśli tak dalej pójdzie, nadejdzie wkrótce czas, gdy wiersz Tuwima „W strasznych mieszkaniach, straszni ludzie...”, ukaże się niezrozumiały i będzie strzałem, który chłbia celu.

Tymczasem dla osób, które wórow opraw u nas nie oglądały i, mieszkając poza Warszawą, nie będą miały po temu sposobności, postaram się opisać kilka zasad-

schodzi na książki: „Nad czym pan teraz pracuje?”, „Jak poszła ostatnia pańska powieść?”, „Z czego tu żyć przy tak niskich honorariach i t. d. i t. d.”.

W pewnej chwili poeta rzekł swym cichym głosem, ciągnąc lekko ze łwowska:

— Ach, proszę pana! Gdybyśmy Polacy mieli choć setną część tego zamiłowania do książki, jakiego mamy do wódki, nie byłoby przysłówiowo chudych literatów.

Rozejrzałem się po sali. Czerwoną twarzą — szerokie i czerwone — bez wszelkiej wątpliwości stwierdzały sarmacko — mazurskie pochodzenie swych właścicieli. W tej chwili stanęła mi w oczach inna sala — biblioteczna, z której właśnie przed chwilą wyszedłem. Przeważały w niej garbate nosy semickie. Skojarzyłem te obrazy ze sobą i przyznałem pocie słuszność.

— Rzeczywiście nie mamy zamiłowania do lektury, a już stanowczo nie lubimy wytrząchnąć kilku złotych na książki.

Czy nie byliśmy z poetą zbyt czarnymi pesymistami, bardzo łatwo sprawdzić! Przypuśćmy, że ktoś z was, Czytelnicy, ma wolne dziesięć złotych...

No, dziesięć to na dzisiejsze czasy przesada, ale tak z pięć!

Gdzie się potoczny ta okrągłutka moneta? Do księgarni, do kasy teatralnej? Nie! W siedemdziesięciu pięciu procentach rozmiemni się na wódeczkę czystą lub z kropelkami, którą się lyknie z cieplą zagrychą lub nawet bez niej... Tak już jest, sapristi, i ja też należę do tych 75 procentowej większości polskich.

Kto tu zawinął? Klimat taki mokrzy? Nuda i dżdżyste dni, czy jest coś o innego, u djaska?

Nie wiem.

W każdym razie fakt pozostaje faktem. Narzekają na tę cechę na rodowód i bruchaci wydawcy, i chudzi literaci, i niedołężni księgarze, sarka nawet publiczność. Ta ostatnia całą winę obecnego stanu rzeczy zwała na drożyznę książki. Jeżeli się jednak zwąży, że niełatwo powieść można dzisiaj nabyć za trzy złote, czyli za sześć większych wódek (trzymamy się już tego monopolistycznego rachunku), a te wódeczki tak gładko się przelika z przyjacielem — to dojdzie się do wniosku, że książka nie jest znów aż tak luksusowym towarem.

Coś więc innego stoi na zawadzie nabywaniu książek, co innego ścisła i zamyka nam portmonetkę...

Ale co? Wyrażając się z przynależną „głębią” filozoficzną powiem: przestrzeń i czas. Przetrzymawszy zaś te dwa pojęcia na język potoczny, poprostu... ciasnota i przeprocowanie.

Książki czytają przedewszystkiem pracownicy umysłowi, a ci — przynajmniej w Warszawie — gnieżdżą się w nieprawdopodobnie szczupłych pomieszczeniach.

Pokoik sublokatorski, pokój i kuchnia, dwie pokójczyny z kuchnią i t. p. podlegające obniżce lokale mieszczą po kilka osób. Na książki poprostu niema miejsca.

Przekonałem się o tem najdowodniej i najboleśniej przed dwoma laty na własnej skórze. Pisywałem wówczas sprawozdania z książek w jednym z tygodników. Po kilku recenzjach sprytni wydawcy zaczęli wysyłać mi wszystkie nowości. Książki waliły do dwóch moich klitek na piątym piętrze „drzwiami i oknami”. Pękała od nich biblioteka, trzeszczały etażerki, ugięło się biurko. Zwaląłem je na podłogę, taszczyłem na szafy, ubijałem w tapczanie i pod kozetką, windowałem na pawlac. Nic nie pomagało! Nowości wciąż płynęły wezbranym nurtem. Wreszcie począłem je odsyłać do pewnej biblioteki publicznej na prowincję i w ten sposób wybrnąłem z tarapatów.

Księgozbiór własny to rzecz niezmierznie miła i cenna, lecz wymaga miejsca!

Tyle o przestrzeni. Sprawa z czasem przedstawia się nieco lepiej, ale też nie całkiem w porządku.

Pracownik umysłowy jest zaorany. Chłona mu czas godziny biurowe i pozabiurowe, jakaś poboczna praca zarobkowa, a gdy jest urzędnikiem państwowym lub komunalnym — zebrania, gdzie się wyżyna społeczność t. j. przelewa z pustego w próżne i bezustannie „prosi o głos”. Potem inne prace: jakieś imienniki, brydż, kolacyjka... i dopiero rozrywki.

I jakże tu kupować książki? Przecież gdy się już wyluska te parę złotych, to człowiek chciałby wejść z kupionem dziełem w zażyty przyjaźń, a czas (a zwłaszcza ten brydż!) nie pozwala. Kto więc chce czytać, zapisuje się do biblioteki i wypożycza książki, utosunkowując się do nich jak do czegoś obcego, co się dorywczo przetruci i odda spowrotem. Przez ważną większość ludzi czytających urządzi się w ten właśnie sposób.

Kupowanie książek a lektura są to zjawiska odrębne. Jeśli rozochodzeniu się książki przeszkadza czas i przestrzeń, to zamiłowanie do lektury trzebi belfer i jakiś dziwny, niezdrowy a wyniesiony z czasów niewoli stosunek do literatury.

Belfer wyczynia rzeczy doprawdy podziwiania godne. Jeśli kto „przerobił” w szkole jakie dzieło — obrzydnie mu ono na całe życie... Belfer zamordował „Trylogię” Sienkiewicza, „Lalkę” Prusa, zarząną „Pana Tadeusza”, zakatrupił dziesiątki arcydzieł. Systematycznie, powolutku, lecz dokuczliwie. Suchy, kościasty, pedantyczny nie rozwioli rozplamił się wyobraźni młodzieńczej, ale ujmuje ją w cugle, kieruje wzrok młodych na szczegóły i szczegóły, komentując i tłumacząc rzeczy najprostsze do kompletnego

omdlenia z nudów.

Czego nie zniszczył majster belfer — to zatruwa ogólna atmosfera, jaka się wytworzyła wokół naszego piśmiennictwa.

Najbujniejszy rozkwit literatury przypadł w Polsce na czasy, gdy jedyną manifestacją życia na rodowego była twórczość poetycka. Uwielbiało się ją tedy jako coś jedynego i najwyższego. Potem przyszły całe pokolenia uczonych — a co gorsza również belferów — i celebrowali przed dziełami genjuszów istne nabożeństwa, uważając je za święte, nie-tykalne, absolutne. O ile taki stosunek miał głębokie uzasadnienie w czasach przed - niepodległościowych w odniesieniu do wieśców, o tyle teraz w odniesieniu do całej literatury traci anachronizmem. Mimo to utrzymuje się, niestety, w społeczeństwie.

Dziwaczne, lecz prawdziwe! Od święta traktujemy literaturę jako rzecz podniosłą, mówimy o niej ze sztucznym namaszczeniem, ale prywatnie nie mamy do niej szacunku i właściwie uważamy ją za rzecz zbędną.

Jakżeż inaczej jest w rozmiłowaniu w humanistycie narodzie francuskim! Tam nikt przed literaturą nie klęka, nie celebrowa nabożeństw, lecz rzecz traktuje poprostu, po ludzku. Francuzi, rozkochani w słowie, w klarowności i jasności — smakują zdanie, lubują się dowcipem, zręcznym chwytem, upajają myślą. Literatura jest subtelną rozkoszą intelektu, jest rozrywką lub rewolucyjną bombą, rozsądzającą strupieszale formy społeczne.

U nas byle przysadkowate, krzywonogie indywiduum literackie pcha się na „wieszcze” wyżyny, skąd zawile, podniośle, niezromiało prawo nudne i rozklekane kazania. Co zabawniejsze, nikt tego nie słucha, ale indywiduum prawdy, prawdy i prawdy... Ależ, panowie, nie racie nas podnosić paplanią! Zważcie — proszę — że taki np. Prus był najgłębszym myślicielem swoich czasów, a potrafił potęgę swych idei i dociekań zamknąć w cudownie jasnych, do wcięcia i prostych utworach!

Prostoty, głębi, humoru! Bo jeżeli nas zechcecie nadal śmiertelnie nudzić, lub „wstrząsać” odwiecznie ograniczonymi tematami, powiemy wam prosto i dobitnie:

— A piszcie sobie, co wlezie! My idziemy na wodę!

Jan Waśniewski.

Przedstawienia dla dzieci
w Instytucie Reduty

Dnia 29 grudnia Instytut Reduty (Kopernika 36/40) rozpoczyna cykl przedstawień dla dzieci. Daje sztukę B. Popławskiego p. t. „Cud na Powiśle”. Jest to pogodny obrazek sceniczny związany treścią z okresem świąt Bożego Narodzenia. Tekst wierszowy przeplatają liczne piosenki i kolendy.

Z muzyki

Ninon Vallin i Jacques Thibaud

Konserwatorium gościło w swych murach dwie znakomite gwiazdy: słynną primadonnę parryskiej Opéra Comique, Ninon Vallin i wielkiego muzyka J. Thibaud. Wspólny recital tych świetnych odwońców był prawdziwą uczcą artystyczną.

Bogaty i obfity program rozpoczął J. Thibaud Sonatą na skrzypce i fortepian C. Francka. Pewne początkowe skrupowanie nie pozwalało znakomitemu artyście zabłysnąć odrazu całą potęgą swego zdumiewającego talentu. Dwa pierwsze Allegra i Recitativ-Fantasia nie miały jeszcze tego wysokiego polotu co następne Allegretto poco mosso. Zato już Chocconę Vitali'ego - Charbier'a wykonał J. Thibaud znakomicie.

Bardzo piękny ton, szlachetny temperament i poważna kultura muzyczna stanowią wybitne walory tego świetnego skrzypka, mającego za sobą już długoletnią karierę artystyczną.

Na zakończenie ciekawego programu Thibaud zagrał wspaniale szereg drobniaków: Fontaine d'Arethuse Szymanowskiego, Minstrels Debussy'ego, Malaguene Albeniza i La vida brese De Fall-

la, wywołując swą żywiołową grą spontaniczne owacje publiczności.

Ninon Vallin olśniła nas niebywałą kulturą wokalną, znakomitą szkołą i nadzwyczajnie postawionym głosem. Jej interpretacja stoi na najwyższym poziomie artystycznym.

Wykonała ona wzorowo piękny i subtelny program: „L'amour de moi”, czarującą pieśń francuską z XV-go w. Arję z opery „Wesele Figara” Mozarta, „O del mio dor ce ardor” Glucka, Arję z opery „Judasz Makabeusz” Haendla — monumentalne dzieła, których wartość N. Vallin uwidoczniła w całej pełni. Poza tem szereg wartościowych pieśni kompozytorów francuskich Duparc'a (Chanson triste), Faure'go (La rose i Apres un reve) Debussy'ego (c'est l'extase langoureuse i Mandoline) i Charbier'a (Les cigales), odśpiewała p. Vallin ze szczerą prostotą i wykwinnym smakiem.

Towarzyszy jej na fortepianie Pierre Darcq współwykonawca J. Thibaud był doskonałym pianistą Tasso Janopoulo.

Michał Kondracki.

KAMIEŃ ŻOŁCIOWE
tworzą się wskutek złego funkcjonowania wątroby
Stosujcie ziola „CHOLEKINAZA” H. NIEMOJEWSKIEGOH. Temianka i J. Horenstein
w Filharmonji

Henry Temianka, zdobywca III nagrody na zeszłorocznym konkursie skrzypcowym im. Wieniawskiego co dowiódł swym występem na koncercie piątkowym, że sukces jego nie był przypadkowy. Wykonał on koncert skrzypcowy Beethovena, „kamień probierczy” prawdziwego artyzmu i wyszedł z tej próby zwycięsko. Wykazał umiejętność głębokiego wczucia się w styl Beethovena i, zachowując klasyczny umiar, nie pozbawił tego dzieła tego przedziwnego uroku poetyckiego, którem ono jest owiane. Pod względem technicznym wykonanie było bez zarzutu.

Doskonale akompanjował Temiankę popularny już w Warszawie dyrygent Jascha Horenstein. Zarzucić mu można w tym akompaniamencie tylko przesadne pianissimo, wskutek których w niektórych momentach wogóle nie słychać było orkiestry. Różnorodność swego talentu wykazał Horenstein w pozostałych numerach programu: 3-ciej Symfonji Brahmsa, Uwerturze z „Tannhausera” i dwóch „Nokturnach” Debussy'ego (prowadzonych z dużym polotem i wyczuciem stylu impresjonistycznego). Poza tem zawierał koncert piątkowy i-sze wykonanie nowego utworu symfonicznego Michała Kondrackiego: „Mecz”.

Jest to dzieło, należące do typu t. zw. muzyki „rzeczowej”. Hasłem tej „nowej rzeczowości”

jest opisywanie przez muzykę tematów dotąd dla niej obcych, a wyrażających zawrotne tempo współczesnego życia; tematami takimi są maszyn, praca na fabrykach, sport. Utwór Kondrackiego nie jest jednak zwyczajną imitacją muzyczną zawodów sportowych. Sport jest dla niego tylko symbolem tempa i walki, a sumptem do stworzenia dzieła o walorach czysto muzycznych. Dla tego też nie daje Kondracki awanturowi utworu żadnego objaśnienia programowego, nie zaznacza nawet o jaki „mecz” chodzi. W gruncie rzeczy jest to mecz pomiędzy poszczególnymi instrumentami lub poszczególnymi tematami. Wyróżnić się dają główne tematy: pierwszy o charakterze rytmicznym, drugi o charakterystycznym i jedynym rysunku melodyjnym, powierzonym głównie instrumentom masy. Przeróżne odmiany, jakim ulega ten drugi temat oraz jego kombinacja z tematem pierwszym dają bardzo interesujący obraz „współzawodnictwa” tematycznego. Cały ten materiał ujęty jest w ramki zawrotnego rytmu, trzymającego słuchacza w napięciu przez cały czas. Horenstein prowadził utwór ten bardzo dobrze, dając właściwie, bardzo szybkie tempo i wydobywające pomimo to wszystkie charakterystyczne szczegóły i efekty polityczne.

Zastępca.

mę bardziej pogodną w kolorze. Oczywiście, oprócz tych typów za sadniczych, istnieje wiele odmian indywidualnych, które może doradzić sam autor drzeworytu, albo nasze specjalne upodobanie. W tym ostatnim wypadku trzeba jednak mieć już pewne doświadczenie i wyrobiony smak.

Najbardziej uniwersalnym typem ramki do drzeworytów barwnych jest taka sama rameczka jesionowa, lub dębowa, z dodaniem od wewnątrz wąziutkiej czarnej listewki. Podobna dwubarwność ramki dobrze odpowiada barwności rycin, a wstrzymuje od jakiegokolwiek zestawienia, przynajmniej dla wielu odmian kolorystycznych barwnego drzeworytu. Z tej ramki można po pewnym czasie wyjąć drzeworyt i włożyć w nią dla odmiany, inny, o ile ma te same wymiary. Na wystawie w „ABC” graficy pokazali, tym razem, ramki inne, ściśle dostosowane do oprawionych w nie drzeworytów i jedynie dla nich przeznaczone. Przegląd tyłu odmiann pozwoli wyłowić pewną zasadę: forme wszystkie te ramki, o skomplikowanym już i bogatszym profilu, srebrne i złote, posiadały poza tym wąski pasek, znaczący matową barwą. Barwa ta zawsze powiadała jednej z barw drzewo-

rytu. A więc np. p. Krasnodębska - Gardowska oprawiła swój drzeworyt, czarno - brązowy, w złotą rameczkę, z ciemnym, czerwonym paskiem. Odpowiednikiem czerwono - pomarańczowej barwy, w drzeworycie Cieślowskiego Syna, są tegoż koloru, paski, na wypukłej, srebrnej ramce. Mój drzeworyt ma barwy: brunatną i niebieską - zielonkawą więc i ramkę dobrałem srebrnozieloną, z paskiem ciemniejszym, niebieskim.

Tych kilka uwag zapewne wystarczą tym, co pragną oprawić swe drzeworyty, trzeba jeszcze dodać, że drzeworyt, oprawiony i powieszony na ścianie, staje się jej najbliższym sąsiadem, wobec czego nieobojętną będzie sprawa harmonji (barwnej), między tymi sąsiadami. Na wsi dziś jeszcze często spotykamy ściany bielone. Białe tło jest neutralne i z niem kłopotu nie będzie, wybierając wypadnie wtenczas, gdy za tło drzeworytom damy kolorową tapetę. Nie stety fabryki nie przestały nas jeszcze częstować wzorami, o wielkim patrym deseni. Nie radzę nikomu takiej tapety używać. Cztery ściany wnętrza, ograniczające przestrzeń, stwarzają nam schron i zacisze, te najcenniejsze wartości mieszkania; gdy pragniemy

przestrzeni, wychodzimy poprostu z domu i nie trzeba, by tapeta nam sugerowała swym plastycznym, kwiatowym - liściastym ornamentem, że ściany nie istnieją i dość przestąpić tą imitowaną roślinność, by znaleźć się w krzakach. Najlepiej ściany malować klejowo, jedną barwą, albo dobrać tapetę bez wzoru, lub o wzorku drobny, z odległości zlewającym się w całość jednej barwy. To ostatnie, jeśli chodzi o tapetę, jest najpraktyczniejsze, gdyż zupełnie nie będzie w tym samym kolorze i walorze, co ściana, bo wtenczas ściana je wchłonie. Jeśli ma ją podobny kolor, niech będą ciemniejsze w walorze, jeśli waler je upodabnia, niech kolor stanowi różnicę. Pożądaną są kontrasty, trzeba tylko pamiętać o harmonji. Na szaro - niebieskiej ścianie żółty jesion ramki będzie ładnie wyglądał, a na tle łagodnej zieleni dobrze się wyda ramka ciemno - brunatna. Kombinacji może być mnóstwo, ale oczywiście trudno pamiętać tylko o szarmonizowaniu kolorystycznym ścian z obrazkami; w pokoju znajdują się meble — barwa drzewa, w zestawieniu z kolorem ściany, oto nowe zagadnienie, które będziemy musieli

omówić oddzielnie. Jednak już z przytoczonych uwag wynika chyba jasno, że kwestja pieniędzy nie jest wcale, przy estetycznym urządzaniu mieszkania, najważniejsza.

Wiktor Podolski.

P.S. W „ABC”, z poprzedniej niedzieli napisałem fejleton o tapetach, na co mi zareplikował p. Sułkowski. Najzupełniej zgadzam się z 2 argumentami z pierwszej połowy jego odpowiedzi, przyczem muszę zastrzec, iż tylko pierwszy z nich dotyczy bezpośredniego tapczania, ten omawiający jego właściwości jako sprzętu. Racja — chowanie pościeli w tapczanie nie jest higieniczne, toteż współczesni meblarze wcale nie są z takimże rozwijaniem sprawy zadowoleni i pracują nad usunięciem tego niedostatku. Natomiast nie na to nie poradzę, że niektórzy lubią się rozkładać na tapczanie w obecności obcych. W tym wypadku nie tapczano zawinił, dając ku temu możliwości. tylko ludzie, jeśli z nich skorzystali. Pan Sułkowski i ja posiadamy uczciwe, polskie nosy. Posiadamy też i palce. A jednak palcem w nosie żaden z nas nie dłuży.

A przecież możliwości są...

W. P.